

Z NASZEGO TKACTWA NA KURPIACH¹

Przygotowanie samodziałów do ubrania i stroju. Mieszkając w lasach i puszcach, lud kurpiowski musiał — jak i wszędzie na świecie — korzystać z ciepłych skór i futer upolowanych zwierząt leśnych. Nie było wtedy specjalnego kroju, ani obmyślonej przez kobiety mody. Aby okryć górną delikatniejszą część ciała, to i dosyć! Na nogach wystarczyły też byle łapcie. Ludność przez setki lat żyła tu z wszelkiego zbieractwa, łowiectwa i w ogóle z puszczy, miejscowe płody leśne musiały wystarczyć na wszystko. Do dziś o tym wiemy z opowieści starych ludzi i ze starej literatury opisowej czy pamiętnikowej.

Ale przyszły czasy, kiedy bór czy las nie dał rady już wyżywić rozrastającej się i przybywającej nowej ludności puszczańskiej. Zabrakło i skór na okrycie. Zaczęto myśleć o sposobach nowych zaradzenia biedzie. Ale szło to opornie i nie łatwo, bo nie było ani stałej hodowli owiec, ani ziemi ornej na sianie lnu i konopi. To przyszło z czasem, ale w w. XVIII kiedy ludność „na polach” czy też „na roli” ubierała się już w tkaniny swego wyrobu, to tu w puszczy, jak czytamy z wiarygodnych opisów, mężczyźni chodzili często w łachmanach, a ich „dzieci i nawet starsza młodzież obojga płci łąką nadzy bez żadnego wstydu. Sprawia to ich wielka bieda...”².

Z powyższego krótkiego opisu widzimy, że musiały to być dla Kurpiów czasy przejściowe, kończyło się życie leśne, a nie zaczęło żadne inne, bo inaczej dzieci chodziłyby chociaż w lichych parcianych płótniakach, a i starsi nie nosiliby łachmanów.

Te „łachmany” musiały być nie miejscowe, zdobywali je pewnie Kurpie od zamożniejszych sąsiadów z pół, którzy przez życzliwość czy drogą zamiany wyzbawiali się na rzecz biedaków kurpiowskich różnej starzyny i lichych niedodzierków. Nie wszędzie na puszczy była taka bieda, tylko pewnie w głębi lasów — wśród łowców, smolarzy, węglarzy itp. mających nędzną pracę i liche widać zarobki.

W wieku XVIII w lasach puszczy Zielonej (nad środkową Narwią) zaczęły już powstawać stałe osiedla i wioski, na pół rolniczo-bartnicze. Ale i w tym czasie ludność miała większe dochody z barci niż z roli, chociaż los ich się polepszył³. Życie na pół cygańskie też zanikało. Na początku XVIII w. Kurpie walcą już ze Szwedami, jako zwarte bractwo kurpiowskich strzelców, we wcale zgrabnych ubiorach i „barwach”, a w czasie wyświęcenia nowego kościółka w Kadzidzie, w roku 1783 w tych „barwach” strzelali już na wiat z rusznic i moździerzy⁴.

Wpierw, niż z włóknem roślinnym, mieli Kurpiowie do czynienia z wełną, z własnych owiec, hodowanych masowo na paśnikach między borami i na smugach nadrzecznych. Hodowano owce na wełnę, na kozuchy i na mięso, a które w puszczy nie zawsze było łatwo. Życie pasterskie kwitło tu dość wcześniej, o wiele wcześniej niż rolnictwo — może na paręset lat. Wełnę strzyżoną czesano na włókno do przędzenia przy pomocy ręcznych kolczastych szczotek do gręplowania, wyrabianych po wsiach⁵, a jeszcze przedtem kolczastych owoców „koliboku” rosnącego na pustkowiach. O tym

wiedzieli od swych rodziców starsi puszczenie, jeszcze przed paru dziesiątkami lat.

Mając przędzę wełnianą, a z czasem i lnianą, nauczyły się kobiety tkąć sukno i płótno na własną potrzebę. Krosien jednak jak współczesne nie było, prawdopodobnie więc kobiety tkwały pierwsze sztuki sukna grubego czy płótna na ścianach swych niewielkich chat — od wewnątrz, a częściej pewnie od zewnątrz, jak to do ostatnich niemal czasów wyrabiano szale i ciepłe narzutki na głowę w niektórych miejscowościach starej Kurpiowszczyzny. Na ścianę skromnej wówczas chatki „namotały” nici z wełny (postaw) i robiły tkaninę przy pomocy wątku. Z czasów tego prymitywnego tkactwa pozostała tylko nazwa miary tkaniny spod krosien terażniejszych pod nazwą ściany. Ściana sukna, ściana płótna — tak się mówi kupującym przy sprzedaży domowych tkanin, a taka „ściana” na dzisiejszą miarę, to 6 m bieżących tkaniny, z normalnych wiejskich wąskich krosien.

O rozwiniętym już dobrze tkactwie kurpiowskim czytamy dokładne wzmianki na początku zeszłego stulecia. Gawarecki podaje w r. 1928, że Kurpie „wiele tu płótna wyrabiają”...⁶ a w innym miejscu pisze, że na wszystkie potrzeby miejscowe „płótno i sukno wyrabiają same Kurpianki”⁷.

W r. 1888 kiedy to w Warszawie urządzono wystawę tkactwa ludowego (w salach przy Muzeum Przemysłowym i Rolniczym) Kurpianki z okolic Kadzidla i Lipnik, które wystawiły swoje wyroby, okrzykane były za jedne ze zdolniejszych tkaczek w Polsce i otrzymały odznaczenia i nagrody za swoje wyroby⁸.

Aż do ostatnich czasów i lat, tkactwo kurpiowskie stoi na odpowiednim poziomie. Wprawdzie nie znajdujemy już w każdej chałupie krosien tkackich, ale tam gdzie one są, gospodynie kurpiowskie wyrabiają płótno, dywany i sukno pierwszorzędnej jakości. Przed II-gą wojną, wyroby z rozwiniętych spółdzielczo warsztatów tkackich w Myszynie i Lipnikach miały zbyt za granicą, szły do Ameryki Północnej i w inne kraje.

Obecnie tkactwo podupadło z wielu przyczyn, a jedną z nich jest, że ludność w dziedzinie ubioru i stroju nie stara się już być — jak dawniej — samowystarczalną, zadawalniam się wyrobami fabrycznymi, a Kurpianki coraz częściej przekładają miejską i fabryczną tandetę nad swoje własne wartościowe wyroby. Również wymiana hurtowa lnu i gotowego włókna na gotowe z fabryk dostarczane płócienna i perkaliki robi poważne spustoszenie, Kurpiankom „nie brak” już ścieżyć całą zimę i dłużej nad krosnami, a tym bardziej tracić całe długie wieczory jesienne i zimowe przy kołowrotkach.

Wreszcie otrzymywane masowo paczki z zagranicy od krewnych, często z gotowym ubraniem, modne suknie, koronki i jedwabie do reszty niwelują starą kulturę w dziedzinie tkackiej. Tkactwo — nie tylko jako trudna praca rękodzielnicza, ale nieraz i jako prawdziwa sztuka ludowa — w tej dziedzinie zaczyna być niepotrzebne. Jeszcze tu i ówdzie po ziemiach polskich spotykamy Kurpiów i Kurpianki z wałkami samodziałowego płótna, chodnikami itp. Liczne wyroby swoje lub

członków rodziny rozwożą na sprzedaż, ale i na to przychodzi koniec.

Tkactwo kurpiowskie przechodzi dotkliwy kryzys, którego skutki niewiadomo jakie w tej dziedzinie przyniosą rozwiązanie. Raczej ujemne.

Barwienie samodziałów. Barwienie czyli farbowanie (jak tu mówią) samodziałów na ulubione kolory, przechodziło różne fazy swego rozwoju i upadku, w jakim znalazło się w czasach obecnych.

Dawnymi laty płócien samodziałowych nie farbowano. Jeszcze pod koniec XVIII i na początku XIX wieku, gdy kobieta narobiła płótna lnianego, to naszyła z niego wszystkim domowym bielizny („kosiul”) i ubrania. Wszyscy chodzili przeważnie na białe. Ale jak chłopak „usiedział” koszulę na mokrej trawie przed chałupą i ją uzielenił, a dziewczyna, zbierając jagody czarne w lesie, to samo zrobiła przypadkowo, zafarbowawszy ją na granatowo czy modro i niebiesko — to już i były pierwsze zapoczątkowane kolory! Przy podobnych czy innych wypadkach kolory były inne — i tak uzbierało się samo to, co potrzebne do kolorów⁹. Zaczęto wtedy lniane i wełniane tkaniny farbować, płótno białe zaczęto przetykać modrymi nićmi czy paseczkami i tak powstały płócienka w takiej paseczki; płótnianka do tychczasowa z tymi paseczkami była już *strojem* od święta.

Używając barwników roślinnych do przędzy lnianej, przy wyrobie np. pościeli na łóżka w pasy i kraty, Kurpianki używały następujących barwników:

1. Na kolor chabrowy (modro-niebieski) gotowano nici w leśnych jagodach czarnych (czernicach).
2. Na kolor brunatno-czarny i czarny — w odwarze z olszowej kory z lnianym siemieniem.
3. Na kolor czerwony — leśne krzaczki podobne do czernic pod jesień (mają czerwone łodygi i pestki).
4. Na kolor żółty — brzoźowe liście i kora z dodatkiem koperwasu.
5. Na kolor zielony — specjalna trawa wodna, długa, dająca po ściśnięciu miążgę. Nadrzeczanie nazywają ją „muzga”. Nici gotowano w odwarze z tej trawy¹⁰.

Były różne sposoby farbowania nici, nie wszystkie dochowały się do naszych czasów, bo przez parę ostatnich pokoleń używano barwników przeważnie chemicznych.

Często farbowane były tylko nici na osnowę (szczególnie przy wyrobie kilimów i dywanów), wtedy kręcone lniane nici do osnowy grubsze i mocne, nazywano cięciwami, dawano je pod przędzę wełnianą.

Len siał zawsze gospodarz, a czyściła go z chwastów, rwała, suszyła, otłukała z nasion itd. itd. aż do sprzędzenia w piękne i cienkie włókno — sama gospodyni. Jedna z nich opowiadała mi, że chcąc otrzymać ze lnu koszulę, trzeba przy nim odbyć aż pięćdziesiąt różnych pracowitych czynności!

Wyroby ze lnu były na Kurpiach najbardziej lubiane i popularne, szczególnie latem. Prócz białych koszul, farbowano w paski spódnice (kitle), fartuchy (zapaski i do nakrycia), chusteczki na głowę, a dla mężczyzn prócz koszul, portki lniane, parcianki i onuczki w chodaki.

Sukno grube na sukmany bartników czy strzelców farbowano niekiedy na kolor bury; gotowano je wtedy w olszowej korze z lnianym siemieniem.

Najczęściej jednak robiono kolor sposobem naturalnym. W tym celu do sukman dawnych (ciemno-brą-

zowych) dobierano od razu wełnę rudawą, która dawała przędzę i sukno potrzebnego koloru. Jeżeli kolor był za siwy (za jasny), to wełnę czy przędzę wystawiano latem na upalne słońce przez dłuższy czas, aż nabrało potrzebnej barwy. W dawne lata tak tylko robiono, nie inaczej, komu tylko było pilno przed zimą, a słońca już gorącego nie było, ten szukał farby olszowej¹¹.

Do pewnego rodzaju sztuki tkackiej należało wyrabianie barwnych i ozdobnie wykonanych pasków do fartuchów; wyrabiano je z bawełny kolorowej i lnu na specjalnych tzw. „klockach”. Niektóre były bardzo artystyczne i była ich wielka różnorodność. Wyrób ich skończył się już przed kilku dziesiątkami lat.

Wielejcy krawcy. O krawcach tych pisałem do książki pt. *Strój ludowy Puszczy Zielonej* — będącej teraz w przygotowaniu do druku. Dodam tylko że krawcy miejscowi (ludowi) rekrutowali się spośród ludności miejscowej, wiejskiej. Żadnych do tego szkół czy kursów nie było. Taki krawiec latem pilnował lichego swego gospodarstwa, a zimą obszywał rodzinę lub wieś. Czasami miał i pomoc. Szyto ręcznie, a maszyny do szycia pokazały się tu ok. r. 1900 (z Ameryki na raty firma „Singer”). Krawcy żyli sobie na ogół dostatnio, a który miał więcej gustu i nowych pomysłów w „przestrojach”, to o przyszłość materialną mógł się nie martwić. Każdy z nich miał swój dom i inwentarz. Co do krawców Żydów (w ostatnich lat dziesiątkach przed wojnami), to ci pracowali w miastach i osadach miasteczkowych, na zimę jeździli po wsiach („wędrownicy”), zadomowili się gdzie u gospodarza, obszyli mu całą rodzinę, potem szli do innego itd. Za pracę otrzymywali gotówkę i „kolędę” w naturze do domu. Po wsiach gotowali sobie w swoich naczyniach (nasze były „trefne”), a produkty otrzymywali od gospodarzy. Krawcy szyli stroje wiejskie, regionalne z czasem miejskie, współczesne.

Bielenie płócien lnianych na Kurpiach i w ogóle nad Narwią, znane jest powszechnie. Przy każdej chałupie dawniej w ogródkach, zabezpieczonych przed inwentarzem, były specjalne placzki równe, z piękną murawą, zwane bielnikami. Sama nazwa wskazuje, że służyły do bielienia. W niektórych wioskach czy osadach nadrzecznych były bielniki do wspólnego użytku, wydzielone przez zebrania gromadzkie dla całej wsi, dobrze ogrodzone.

Początkowo pewnie płócien nie bielono, na koszule czy też portki itp. używano surowego partu, zwanego tu jeszcze szarym płótnem lub paześnym. Ale pewnie ten sam deszcz co przy praniu, nauczył ludzi i bielić płótna, które bieleły same na karkach ludzkich, od deszczu i słońca. A że płótno wybielone jak śnieg mogło być pięknym strojem odświętnym, pewnie więc na ten strój odświętny, uroczysty, obrzędowy itp. zaczęto bielić płótna specjalnie.

Bielono w ten sposób: sztukę płótna z krosien rozciągnano na murawie, przygważdżano do ziemi specjalnymi kołkami na pozostawione w tym celu pętelki (lub z braku tych — przytłaczano po bokach wymyślnymi kamieniami). W słoneczną pogodę płótno polewano wodą czystą przez sita polewaczki raz wraz po każdym wyschnięciu, przeważnie robiły to kobiety i młode dziewczęta. Nieraz dziesiątki razy dziennie, dlatego bielniki są zawsze blisko wody. Po paru tygodniach „bielienia” — czego oczywiście dokonywa słońce letnie — płótno zwijają na wałki i zabierają do użytku. Tak samo trzeba zbierać płótno z bielników na noc i przed każdą burzą, pilnować przed wędrownymi złodziejami,

również by kura czy nierogacizna nie dobrały się na bielnik i nie zrobiły nieporządku, szkodliwego dla płótna w czasie bielienia.

Takie bielniki i bielienie można często spotkać i dziś, na ogół jednak gospodynie sobie upraszczają bielienie w domu, gotując sztuki płótna w specjalnie spreparowanym ługu z palonych łęcin lubinu, a dawniej i jałowca itp.

Bielone płótna kurpiowskie cieszą się wielkim popytem na miejscu i dalej w Polsce od stu kilkudziesięciu blisko lat.

Folowanie sukna. Sukno zaraz z krosien nie nadaje się dla krawca, jest rzadkie, rozciągliwe i kurczy się od wilgoci i deszczu. Ubranie uszyte z takiego sukna, po pierwszej ulewie skurczyłoby się niepomiaralnie i trudno by je nałożyć na siebie. Tak pewnie w dawniejsze czasy przytrafiło się niejednemu elegantowi puszczańskiemu, a to zmoknięcie właśnie ze skurczeniem się gwałtownym sukna, naprowadziło pewnie tkaczy na pomysł zbitcia sukna na gęstsze, więcej nieprzepuszczalne i nie rozciągliwe.

Folowanie sukna — bo tak nazywa się cała ta manipulacja utrwalenia, zbitcia i ujednostajnienia rozciągliwości włókien — odbywa się od niepamiętnych przez ludzi lat, na całym terenie, gdzie znane jest tkactwo z wełny.

Do folowania służy specjalny przyrząd — warsztat, zwany foluszem („folusz”), a będący właściwie długim ok. 3—4 m korytem, dłubanym z grubego pnia drzewnego, z wolnymi wylotami w obu końcach i dość wysokimi bokami. Do koryta dorobiony jest specjalny długi i dość cienki *smyk* z kołkami do rąk. Do *smyka* trzeba 6, 8 i więcej nieraz ludzi.

Zwykle folusz ustawiony jest na kołach wbitych w ziemię (słupkach), przed oknami chałupy, przez które przechodzi światło lampowe na zewnątrz przez szyby, żeby pracujący mieli widno. Praca rozpoczyna się o zmierzchu, zwykle w czasie adwentowym (w grudniu), do której zaprasza się sąsiedzkich chłopców dorosłych na cały wieczór. Jeżeli sukna jest mało w jednej chałupie, to kilka gospodarstw razem znosi sukno na wspólne folowanie, dość pracowite i kłopotliwe.

Sukno naparzone ukropem, rozciągnięte w foluszu (korycie) chłopcy międlą, gniotą i przewracają *smykem*, ciągnąc nim gromadnie w obie strony wzdłuż. Z kobiet domowych, co chwila któraś leje wrzątek z dużego sagana na sukno, a po kilku godzinach, gdy znawcy zawyrokują, że sukno gotowe — zbite i ściśle, pracę się przerywa. Sukno mokre naciągają, prostują, nawijają na walki, suszą i oddają po tym do krawca. Już mu żaden deszcz nie zaszkodzi, ani zmiana pogody.

Chłopcy po ciężkiej do potu pracy przy suknie otrzymują zasłużoną dobrą kolację, folusz pożyczany jest dalej po wsi, bo nieraz i kilka razy różne sukna w ciągu grudnia doprowadzone są do stanu używalności. Do reszty biorą je w obroty wędrowni krawcy.

W ostatnich latach, bliżej miast fabrycznych sukno takie dają niektórzy do specjalnych fabryk do wyrównania jednej strony „prawej” przez maszynowe postrzyżenie włosia, ale większość poprzestaje na tym, jakie wyszło z warsztatów wiejskich.

Sukno takie służy dziesiątki lat, ubranie z niego „nie do zdarcia” — jak mówią, a przy tym na zimowe mrozy i zawieje ciepłe i wygodne w noszeniu.

Ma też wzięcie na Kurpiach do ostatnich lat, a na jarmarkach czy targach w Myszyniu można nabyć odpowiednio wymierzone sztuczki na krótkie „sukmanki”.

Pranie samodziółów. Pierwotnie nie prano bielizny (która w lato była jednocześnie i strojem), nie znano tej potrzeby, i nie względy higieniczne, tylko pewnie estetyczne wpłynęły na wynalazek prania.

Pierwszą praczką bielizny czy płóciennego stroju był prawdopodobnie niejeden ulewny, letni deszcz, który gdy był z silną falą tj. wiatrem, nie tylko strzepał i sprzął skórę będącym w podróży, nie tylko przy rybołówstwie puszczaków, ale to samo zrobił z płóciennym strojem, będącym jednocześnie bielizną, trzepiąc je z całą pasją wprost na człowieku. Gdy człowiek wyschł, zauważył pewnie, że jego strój czy bielizna jest ładniejsza, coraz bielsza i bez brudu. Dziewczyna w pięknej bieliźnie, bielutkiej, zaczęła się prędzej podobać chłopakom, co podrażniło pewnie ich ambicję w kierunku częstszego moknięcia na deszczu, który je prał bezinteresownie a skutecznie. Jeszcze przed paru dziesiątkami lat, dziewczyny umyślnie mokły na majowym deszczu, żeby im włosy długie rosły (wtedy jeszcze nie strzyżono włosów). Taki musiał być początek prania.

Zacząto też z czasem — nie czekając deszczu — prać bieliznę w wodzie bieżącej, trzepiąc ją ręką, dłonią, a z czasem kijanką z płaskiej szczapy, czy ułamaną gałęzią.

Prawdopodobnie z przyrodzonego lenistwa, człowiekowi nie chciało się urządzać prania zbyt często, ale bądź co bądź, trzeba powiedzieć na korzyść ludności tutejszej puszczy, że nie czekali tu, aż płótno rozleci się na człowieku w strzępy (jak to się zdarzało po świecie) od znoszenia, ale je prano, co nastąpiło pewnie już w wiekach XVII i XVIII — wtedy już nie deszcze, ale kobiety prały bieliznę.

Również warto zaznaczyć, że zmarłych domowników nie chowano w bieliźnie brudnej, ale ją starano się wyprać, wybielić, by nieboszczyk w dobrej formie mógł się zaprezentować w zaświatach. To mówią najstarsi tu ludzie, a pozostałość po tym zwyczaju jest taka, że starsze lub schorowane Kurpianki, oczekując już śmierci, gdy jeszcze mogą pracować, przygotowują sobie na śmierć swój strój, a w nim często śnieżna „kosiula” odgrywa pierwszorzędną rolę.

Bądź co bądź, na początku XIX stulecia, bieliznę już nie tylko prano w wodzie, ale starano się wynaleźć ku temu odpowiednie mydliki-sposoby, ułatwiające otrzymanie możliwie czystej bielizny.

Ze sposobów tych znane były następujące:

1. Woda stojąca, miękka, wygrzana na słońcu, w pierwszym lepszym dole czy kanale lub jeziorku. Moczone w niej bieliznę na całą dobę, specjalnie w białce lub ile, na drugi dzień „spierano” rozmiękły brud w wodzie czystej bieżącej, wykęcąc z nadmiaru wilgoci i suszono na słońcu i wietrze, niektórzy od razu na sobie, żeby nabrała odpowiedniego fasonu.

2. II rzeczny (mazisty i tłustawy muł gliniasto-marglowy), nad brzegiem w niektórych miejscach rzek i strumieni. Szorowano w nim brud zastarzały, a potem „wysiastrano” w wodzie bieżącej, czystej i ogrzanej. Z takiego mułu Niemcy robili nam kartkowe mydło w czasie I i II wojny.

3. Zaparzenie bielizny w nawozie końskim, który jak wiadomo — przefermentowany, zawiera w sobie dużo ciepła — odbywało się jeszcze na początku XIX-go wieku. Bieliznę z zastarzałym brudem zakopywano głębiej w nawóz koński w stajni, żeby się tam dobrze zagrzała. Na drugi czy trzeci dzień bieliznę wydobywano i prano w ciepłej wodzie z ługiem gotowanym z popiołu. Splukiwano w ogrzanej wodzie, czystej i bieżącej.

4. Gotowanie w ługu brudnej bielizny odbywało się jeszcze powszechnie ok. r. 1900. Ług wygotowywany z popiołu drzew liściastych, posiadających w sobie potaż zastępujący ludziom mydło. Wyługowany potaż szedł znad Narwi na handel (dawnymi czasy) w dalszy świat. Bieliznę z ługu prano w czystej wodzie ciepłej i miękkiej, najlepiej w strugach i rzekach.

5. Owczy ług. Była to na pozór brudna woda pozostała po myciu owiec przed stryżeniem. Woda taka była mętna i jakby tłustawa. W wodzie takiej prano dawniej koszule płócienne, spierając do reszty z brudu w wodzie czystej, bieżącej. Od lat 60—80 sposobu tego prawie nie używają.

6. Dębowy ług. Palono w piecach dębową korę, odsiano na sitach i wygotowywano ług. Ług taki przez szereg dziesiątków lat uważano za najlepszy i gotowano czy też prano w nim bieliznę. W końcu czysta woda splukała do reszty co niepotrzebne¹².

Co do sukna i sukman, to praniem ich mało kto się interesował, wystarczał deszcz i śnieg; dla „odnowienia” sukna wycierano je rękami miękkim śniegiem.

Tak więc sobie radzili Kurpiowie, a właściwie Kurpianki z praniem bielizny. Tylko na tratwach splawnicy drzewa (miejscowi oryle) musieli prać sobie bieliznę w „gratunach”¹³, gdzie indziej robiły to zawsze kobiety i dziewczęta. Praczkami zawodowymi też są kobiety. W dawniejszych latach na Starych Kurpiach zdolny kawaler rzeźbił ładną kijankę w kwiaty i różne wzory i robił z niej prezent przedślubny swojej upatrzonej dziewczynie. Przywiązywał widać do kijanki znaczną uwagę, a i dziewczyna nie obrażała się za to¹⁴.

Maglowanie tkanin. Płótno (i inne tkaniny) spod krosien, jest zawsze trochę pomięte, nierówne. „Pogurbanione” jak to nazywają, wyrównują je nakręcając na wałki, wyciągając za oba brzegi, rozplaszczając mokre na bielniku itp. W wypadkach koniecznych mniejsze sztuczki płótna maglują na szerokiej ławie, na wierzchnim nakryciu szlabana (łóżka służącego na dzień za kanapę do siedzenia) itp. Do maglowania służy ręczna maglownica, zwana tu *wałkownicą* i *wałek* długości ok. 1 łokcia (50—60 cm). Czynność ta znana jest prawie wszędzie po kraju, więc jej nie opisuję. Dodam tylko, że żadnych magłów zmechanizowanych na Kurpiach prawie nie ma, prostowanie wszelkiej bielizny po praniu i wysuszeniu, jak: ręczników, obrusów, koszul, fartuchów itp. odbywa się ręcznie przez kobiety, podanymi powyżej narzędziami.

Wałkownica — z płaskiego drzewa brzozonego czy klonowego lub jesionowego, posiada do prawej ręki okrągły trzonek a do lewej zakrzywioną rączkę u przodu narzędzia. Spód wałkownicy nacinany jest w karby, który przy toczeniu wałka z bielizną naciąga ją coraz mocniej na wałek, wyrównując wszelkie fałdki i nierówności.

Wspominam o *wałkownicy* jeszcze i dlatego, że jest ona u każdej starannej gospodyni i że często jest ozdobiona pracowitymi motywami sztuki ludowej, robotą rzeźbiarską¹⁵. Bieliznę czy fartuch po praniu nie maglowany, nazywają, że wygląda tak „jak psu wyciągnięty z gardzieli”. Żelazka do prasowania od paru dziesiątków lat są w użytku u miejscowych krawców, ogół wiejski dopiero zaczyna je lepiej poznawać.

PRZYPISY

¹ Tekst z ineditów Adama Chętnika, napisany w latach 60-tych.

² Podług ks. Łukasza Kościeszki-Zaluski, misjonarza z r. 1650, odbywającego misję w puszczy Kurpiowskiej (podł. rękopisu po łacinie, podał I. Baranowski „Ziemia” nr 18 1(11)).

³ O czym dalej przy „stzelcach”.

⁴ Podł. L. Krzywickiego — *Kurpie* (Biblioteka Warszawska, 1892).

⁵ Były takie w Muzeum Kurpiowskim w Nowogrodzie pod Łomżą, do r. 1939 (pochodziły z w. XVIII).

⁶ H. Gawarecki *Przywileje, nadania i swobody udzielone miastom województwa płockiego*, Warszawa 1928

⁷ *Pamiętnik historyczny płocki*, t. 2, 1830

⁸ A. Chętnik, *Warunki gospodarczo-kulturalne na pograniczu Kurpiowsko-Mazurskim*, Łomża 1927, s. 89

Od F. Pijanowskiego ze wsi Kuzie, pow. Kolno, lat 90, w r. 1910 i od M. Sobiechowej, lat 85, w r. 1947, od J. Krascynej, lat 80 z Brzozówki (ok. 1932) itd.

¹⁰ Wiad. od A. Kordeckiej z Myszynca i M. Sobiechowej z Kadzidla, 1949 i innych.

¹¹ Wiad. od I. Jesionkowskiego i M. Świdorskiej z Nowogrodu pod Łomżą, 1931

¹² Wiadomości od: S. Chętnikowej, lat 91, Nowogród 1948; M. Sobiechowej z Kadzidla, lat 87, 1949; od A. Kordeckiej z Myszynca, lat 55 — 1949 itd.

¹³ Gratuny — duże szpary z wodą bieżącą między kłocami w płynących pasach drzewa.

¹⁴ Takie kijanki można oglądać w Łomży, w Muzeum Północno-Mazowieckim. „Stare Kurpie” — odcinek dawnej Kurpiowszczyzny z lewej strony Narwi, od Nowogrodu począwszy — do Ostrołeki.

¹⁵ Jak to widzimy np. w Muzeum Półn. Mazow. w Łomży.